

Wiktor Świercz

część I z II

Sygnatura notacji: **N0111**

Data urodzenia: **25.05.1961 r.**

Data nagrania: **18.05.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Stalowa Wola, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 35 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiktor Świercz: Dzień dobry. Nazywam się Wiktor Świercz. Urodziłem się 25 maja 1961 roku. Rodzice moi. Mama Antonina z domu Adamowicz, pochodząca z Kresów Wschodnich, z Wilna, urodzona w trzydziestym piątym roku i ojciec Eugeniusz, pochodzący tu spod stalowolskiej wsi, rocznik [19]33. Rodzice byli lekarzami. Historia mamy wiąże się z czasem wojny, repatriacji z rejonu Wilna. Po wojnie, po repatriacji mieszkała w Warszawie. Tato natomiast skończył studia medyczne we Wrocławiu, tak jak i mama i później osiedlili się początkowo w Stalowej Woli, po czym ojca przeniesiono na dwa lata nad Nysę Łożysko do Gubina, gdzie ja się urodziłem. Mam jeszcze dwoje rodzeństwa: siostra nieżyjąca i brat młodszy. Wspomnę może jeszcze o pokoleniu wstecz. Mój dziadek Stanisław Adamowicz był żołnierzem, policjantem przedwojennym i w czasie wojny był uwięziony w obozie w Archangielsku i uniknął tylko dzięki temu losów oficerów i podoficerów, którzy zginęli w Katyniu, że szybko miał wytoczony proces i skazany był na łagier. I z tegoż Archangielska przez całą Rosję uciekł do Armii Andersa, przeszedł cały szlak bojowy, łącznie z bitwą pod Monte Cassino, której dzisiaj mamy rocznicę. I tu mogę zaprezentować jeden z orderów mojego dziadka Krzyż za bitwę pod Monte Cassino. Dziadek był w stopniu chorążego. Stanisław Adamowicz. Rodzice moi skończyli studia medyczne, pracowali jako lekarze. Ich historia wiąże się z czasami stalinizmu. Więc ojciec, trzeba o tym wspomnieć, może niestety był członkiem ZMP, nawet pewnej rangi działaczem. Uważał, że dla niego było to konieczne, żeby osiągnąć awans społeczny. Później już pracując do PZPR, do żadnej, żadnej partii, do PZPR rodzice nie należeli. Poglądy polityczne ojca były bardziej umiarkowane. Mama natomiast była szefem Solidarności już w czasach legalnego działania Solidarności w przychodni jednej z działających na terenie miasta. Mogę powiedzieć, że z mlekiem matki wyssałem niechęć, żeby nie powiedzieć nienawiść. Może nie do ludzi, ale do systemu, który tu panował od początku. Było to dla mnie coś nie do przyjęcia. W dzieciństwie swoim. W szkole, w liceum do żadnej nie należałem organizacji,

która by mogła cokolwiek zrobić przeciwko tej władzy. Natomiast nigdy nie byłem członkiem harcerstwa, o ile było to swego rodzaju może nie tyle obowiązkiem, co zwyczajem, zwłaszcza w liceum. Wszyscy byli członkami harcerstwa socjalistycznego, ja nigdy do tego nie należałem. Żadne represje mnie z tego powodu nie spotkały. Skończyłem liceum ogólnokształcące tu w Stalowej Woli, po czym rozpocząłem studia w wieku lat osiemnastu, bo wcześniej o rok zacząłem całą edukację, na Politechnice Warszawskiej. W roku [19]79. Powstał w roku osiemdziesiątym NZS i ja byłem takim powiedzmy szeregowym działaczem NZS-u. Nie byłem w jakichś władzach, natomiast NZS-ie się udzielałem. Może szczególnie w czasie strajku okupacyjnego, który rozpoczął się w listopadzie 1981 roku na terenie Wydziału Inżynierii Lądowej. Tam, będąc na tym strajku okupacyjnym, wychodziliśmy w nocy na akcje plakatu, malowaliśmy jakieś napisy, no i jak wiemy wszystko się skończyło w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Jeszcze przed stanem wojennym działał może kolportaż? Coś tutaj w takich kwestiach solidarnościowych jeszcze. Solidarnościowych raczej nie. W ramach NZS-u, w ramach NZS-u udzielałem się w działalności bieżącej. Natomiast mogę tyle powiedzieć, że tu przyjeżdżając do domu, miałem kontakt z działaczami Solidarności w Hucie Stalowa Wola, który był olbrzymim zakładem, zatrudniał swego czasu ponad 20 tysięcy osób. I moim sąsiadem zza płotu był i jest nadal Wiesław Wojtas, bardzo zasłużony działacz Solidarności i legalnej i później, zwłaszcza podziemnej. Ukrywający się w stanie wojennym, internowany. Także miałem kontakt z organizacją, organizacją tutaj. I przed stanem wojennym, i zwłaszcza w stanie wojennym, gdzie przywoziłem czasem różne materiały z Warszawy, ułatwiałem kontakt z warszawskimi strukturami. Więc kontakt z tą Solidarnością miałem poprzez chociażby sąsiada, który tutaj bardzo się zasłużył. Natomiast jakby moja działalność uległa gwałtownemu przyspieszeniu w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Tak się złożyło, że miałem bliski kontakt z Olgierdem Smoleńskim, który był szefem NZS-u na Wydziale Inżynierii Lądowej i bardzo szybko, dosłownie w pierwszych dniach, jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, w grudniu 1981 roku, poprzez jego pośrednictwo dostawałem spore ilości pisma, które się nazywało „Wiadomości”. „Wiadomości Regionu Mazowsze”. To były druki jak na dzisiejsze czasy, można powiedzieć bardzo prymitywne, wiejskie technicznie. Natomiast dostawałem dosłownie setki, żeby nie powiedzieć tysiące egzemplarzy, które kolportowałem z początku tak zupełnie spontanicznie, po sklepach, klatkach kolegów z akademika głównie starałem się zatrudnić gdzie no, bywały z tym kłopoty. Nie wszyscy mieli na to ochotę. Z biegiem dni, tygodni udało mi się zorganizować grupę do tego typu działań. Najpierw spośród kolegów z domu studenckiego, w którym mieszkalem, a więc z Markiem Głowackim, ze Zbigniew Hurlakiem, a następnie z kolegami młodszymi z Wydziału z Politechniki Warszawskiej, z Ryszardem Nachiło, ze Stanisławem Ceglińskim. I początkowo nasza działalność polegała na kolportowaniu po prostu pism, które do mnie trafiały za pośrednictwem Olgierda Smoleńskiego, który szybko skontaktował mnie z Teodorem Klinewiczem świętej pamięci, który w tamtych czasach nosił pseudonim „Borys”, później „Rafał”, więc miałem kontakt dość bliski z nim i od niego otrzymywałem zlecenia. Później przeistoczyło się to w grupę, która powiększała się z miesiąca na miesiąc. Głównie rozrastała się poprzez kontakty Ryszarda Nachiło, który miał kontakt z grupą chłopców z Goławia, w tym jego młodszy brat Wojciech Nachiło. I tych chłopców było kilku, później kilkunastu. I ta grupa nasza w szczytowym okresie liczyła dwadzieścia parę osób.

Artur Kłus: Czyli pan tak podzielił, bo była część studencka z akademików i część od braci Nachiło, można tak podzielić?

Wiktor Świercz: Część to byli moi koledzy z politechniki, z akademika. A druga część to była ekipa z Goławia.

Bracia Nachiło i ich koledzy. Z kolei oni mieli też kontakt z dalszymi grupami, z organizacją, która się zwała Federacją Młodzieży Walczącej, którzy też w zasadzie jeżeli organizowaliśmy akcje, to brali udział, można powiedzieć byli stowarzyszeni z naszą grupą. Z biegiem miesięcy bardziej usystematyzowane były te kontakty z Teodorem Klincewiczem, który przekazywał oprócz prasy, która wychodziła coraz więcej podziemnej, przekazywał nam odezwy Regionalnego Komitetu Wykonawczego Solidarności pod przewodnictwem Zbigniewa Bujaka, które to odezwy rozprawdzaliśmy. Dość szybko było to zorganizowane w formie akcji ulotkowych na tak zwaną przewieszkę, czyli kilkaset ulotek spiętych żyłką, które się wieszało z dachu budynku w centrum Warszawy. Spędziłem wiele, wiele dni na zwiedzaniu dachów w centrum Warszawy, żeby wypatrzeć najlepsze miejsca do tych akcji ulotkowych i w określonym dniu o określonej godzinie Warszawa była zasypywana dziesiątkami tysięcy tych ulotek. I rzeczywiście było widać te pióropusze. Było to w ten sposób, że do tej żyłki, która spinała ulotki, był podłączony lont, który się zapalało. Można było zejść na dół i obserwować, jak one lecą i reakcje ludzi na ten obraz cały. I to było nasze zadanie. Byliśmy, można powiedzieć taką grupą podległą Klincewiczowi, a pośrednio regionowi Mazowsze. Wykonywaliśmy ich zlecenia na rozprawdzenie tych ulotek. Oprócz tego, to trochę później przyszedł czas na audycje radiowe, które były nadawane. Chciałbym tutaj dopytać o te akcje ulotkowe, bo też były różne metody, nawet jeszcze były w ramach wyrzutni? To tak z czasem. Parę razy mieliśmy akcje ulotkowe. Technicznie wyglądało to tak, że były to tuby plastikowe z gotowym materiałem, który wyrzucał te ulotki i też jakoś z opóźnieniem to wystrzeliwało. Ale szczerze mówiąc trochę się tego obawiałem, ponieważ mogło to rodzić niebezpieczne zdarzenia. Więc takich akcji było mniej. Natomiast głównie to były te akcje, ulotkowe na przewieszkę. Oprócz tego w zasadzie byliśmy takimi, można powiedzieć, żołnierzami Solidarności podległymi pod zarząd Solidarności, ale i mieliśmy powiedziane nie organizować nic na własną rękę. Ale zawsze nas korciło do różnych własnych pomysłów. I takie pomysły były realizowane. Także mieliśmy parę akcji typu wywieszanie flagi gdzieś w centrum Warszawy, na ścianie dużej, żeby były widoczne. Albo na przykład plakaty, które sami sobie Organizowaliśmy, rozklejaliśmy. W czasie jednej z takich akcji niestety zostaliśmy aresztowani. Ja wraz z Ryszardem Nachiło, ze Stanisławem Ceglińskim. I druga grupa to był Marek Głowacki i Zbigniew Hurlak. To było bodajże 6 grudnia 1982 roku. To była akcja niezlecona przez region. Po prostu sami rozklejaliśmy plakaty na mieście. I ja konkretnie byłem złapany w tramwaju, w którym rozlepiałem te plakaty. Ale wtedy, po niecałym miesiącu zostaliśmy zwolnieni za poręczeniem rektora Politechniki. Toczył się jakiś proces, który został złożony na zasadzie amnestii i na tym przynajmniej ten pobyt w więzieniu się skończył.

Artur Kłus: Też jakoś szczególnie pan wspomina ten okres tego pobytu?

Wiktor Świercz: Ja byłem wtedy młodym człowiekiem, jakoś nie bałem się, nie miałem rodziny na utrzymaniu, więc powiedzmy miałem nadzieję, że ten pobyt nie będzie długi. Chociaż były momenty groźne. Był taki moment pamiętam wtedy, w grudniu 1982 roku, w czasie tego aresztowania, bo przewożono mnie od komendy do komendy i był taki moment, że prowadzono mnie pod pistoletem, może nie naładowanym. W każdym bądź razie oficer kazał mi iść po linii prostej, bo jak zejdziesz z linii prostej to kula w łeb. Raczej był to chyba blef. No, ale takie były nieprzyjemne momenty. Były nieprzyjemne momenty, gdzie przetrzymywano w zimie, w zimnie, w nocy, gdzie uderzono mnie niejednokrotnie. No, ale to trwało niecały miesiąc i jak już wypuszczono mnie, to oczywiście wszystko ciągnęło się Dalej. Więc co do takich akcji innego typu jeszcze wspomnę o... To była można powiedzieć moja indywidualna Akcja. Na terenie Politechniki jest taki komin, dość wysoki i ja sobie upatrzyłem ten komin jako maszt do zawieszenia flagi. Rozpoznałem

teren, kolega wykonał mi dość duże transparenty dwa "Solidarność zwycięży". Ja te transparenty zawiesiłem w nocy. Nie pamiętam dokładnie daty. To mógł być 15 marca 1982 roku? Możliwe. Możliwe, ale... Więc te flagę zawiesiłem i rano oczywiście była sensacja. Przyjechała straż pożarna. Ja tam nawet zawiesiłem atrapę jakiegoś materiału wybuchowego, żeby nie wchodzić, bo to się wchodziło po stopniach wysoko na ten komin. No takie różne organizowaliśmy akcje indywidualnie i niezależnie od zleceń ze strony RKW Mazowsze. Ale czy powtarzały się takie akcje podobne, to znaczy wywieszania flag też na wysokich budynkach, innych? Kilukrotnie tak, na przykład na budynku w okolicy obecnego ronda ONZ chyba ono się nazywa na ścianie takiej wysokiej. Rozpoznałem wcześniej teren i tam flagę. Przeważnie były wejścia na dach zamykane na kłódki. Więc mieliśmy zakupione takie olbrzymie nożyce do przecinania kłódek, taką 10mm kłódkę przecinaliśmy, wywieszaliśmy flagę, zapinaliśmy swoją kłódkę, więc zanim tam dotarły odpowiednie służby, to trochę to trwało. Kilka takich akcji było wywieszania flag z wysokich budynków w centrum Warszawy. No dużo czasu spędzałem na szukaniu miejsc. I pewnego dnia w takiej sytuacji ścigał mnie... Nie wiem kto to był, ale podejrzewam, że Jakiś funkcjonariusz, który być może w tym celu tam był. Wiedzieli, że szukamy miejsc na dachu i w momencie jak schodziłem z dachu gdzieś w rejonie, to było chyba ulicy Grzybowskiej zaczął... Chwycił mnie i widać było, że wie, z kim ma do czynienia, więc mi się udało go odepchnąć, uciec. W każdym bądź razie oni wiedzieli, że szukamy tych miejsc czyhali na to. To było już po akcji wywieszenia udanej. To było w ramach rozpoznania terenu, więc trzeba było się pilnować, bo oni wiedzieli, że my te dachy opracowujemy. Kilukrotnie też nadawaliśmy audycje radiowe z tzw. gadał, czyli dostawałem gotowy... To była dość duża skrzynia z tubą, z magnetofonem, gdzie była nagrana najczęściej właśnie odezwa Zbigniewa Bujaka. Piosenka Kaczmarekowskiego zwykle przy tym była. I takie nagranie trwało z pół godziny i umieszczaliśmy to w miejscach różnych. Też trzeba było sporo poszukać, żeby to miejsce było odpowiednie. Pamiętam raz taką gadałę ustawiliśmy w przejściu podziemnym na skrzyżowaniu Alej i Marszałkowskiej. Była jakaś taka kamera zamykana na kratę i okazało się, że mamy do niej dostęp i tam było to postawione na kłódkę, zamknięte i przez dobre pół godziny audycja leciała. Oczywiście tłum się zebrał zanim stosowne służby zainterweniowały. Też raz zamontowaliśmy taką gadałę w pasażu śródmiejskim na tyłach domów Centrum. Raz pamiętam, stawiałem taką gadałę na dachu gmachu głównego politechniki przy okazji jakiejś demonstracji. Kilka takich akcji mieliśmy. Podobną akcję mieliśmy przy kościele, gdzie był ksiądz Jerzy Popiełuszko. Tak, Stanisława Kostki, też tam w czasie taką gadałę podpieliśmy. I jeszcze może wspomnę o nadaniu audycji do Kłincewicza, który siedział na Rakowieckiej i mieliśmy rozpoznany dach w budynku sąsiadującym z więzieniem. Także w więzieniu było to dobrze słychać. I ta gadała była tam postawiona. To było bodajże na początku maja 1983 roku. Tak.

Artur Kłus: I Pan brał udział w tej akcji?

Wiktor Świercz: Ja ją tam stawiałem.

Artur Kłus: Mógłby pan opisać tę akcję? Przebieg akcji?

Wiktor Świercz: No bo ona wiązała się z pewnym niebezpieczeństwem jeżeli to było naprzeciwko Rakowieckiej. Pamiętam to dokładnie. Więc była zorganizowana grupa ochronna, grupa ochronna, karateków. Kogoś, kto miał nas w razie czego bronić. I rzeczywiście w tle widziałem, bo to było wieczorem, ciemno było. Widziałem w tle paru chłopców, którzy byli gotowi w razie czego nas obronić. I tę gadałę postawiłem na dachu, włączyłem. Był pewien

kłopot, ponieważ włączyłem, nie chciała działać. Z powrotem ją przyniosłem na dół. Wsadziłem do jakiegoś śmietnika w okolicy. Skontaktowałem się szybko z... tu niestety trzeba wspomnieć z niejakim Tadeuszem. Który, to zupełnie inna historia, ściągnął niejakiego Hipolita, który przygotowywał cały ten sprzęt i on dopiero przestawił przełącznik i po raz drugi musiałem wejść na ten dach i zamontować. I wtedy audycja się zaczęła. To było późny wieczór, także audycja była nadana dosłownie z pozdrowieniami dla Klincewicza. Już dokładnego tekstu nie pamiętam, bo myśmy wtedy już się ewakuowali zaraz. I to było tak, to było w maju 1983 roku bodajże. Podobną audycję nadano do mnie w roku 1984. Ale do tego okresu chcemy przejść później. Rozumiem, że i tutaj udało się bez żadnych konsekwencji tę akcję przeprowadzić. Wtedy akcję nadania audycji do więzienia. Tak, tak, ona się udała z pewnym technicznym problemem, ale się udała. No rzeczywiście było w to zaangażowanych kilkanaście osób, łącznie z grupą, która miała nas w razie czego bronić. To był rok 1983, tak. No, ale naszym głównym zadaniem, co zresztą podkreślał zawsze Rafał, wy macie nie angażować się w inne sprawy, bo wy macie za zadanie rozprowadzać odezwy Mazowsza i do tego jesteście potrzebni, żebyście nie wpadli z innych okazji. No niestety, mnie się zdarzyła wpadka ponowna. Zanim do tego byśmy przeszli, do tej wpadki. Jeszcze bym wrócił do tych akcji.

Artur Kłus: Jakby pan jeszcze cofnął się pamięcią i opowiedział może jak się panu współpracowało, właściwie dowodziło tą grupą, bo to też pewnie się wiąże z tym, że wy byliście studentami właściwie w większości z jednej uczelni, w dużej części w jednym z akademików mieszkaliście? Jak pan wspomina tę współpracę właśnie taką, można powiedzieć, też koleżeńską. W akademiku jak to wyglądało? Od takiej strony studenckiej jak pan to wspomina?

Wiktor Świercz: Tak, no oczywiście, my staraliśmy się być, powiedzmy, zakonspirowani, ale no, było taką tajemnicą poliszynela w kręgu, może nie w całym akademiku, ale w kręgu naszych sąsiadujących pokoi, kolegów. Tyle wiedzieli, że my coś knujemy. Natomiast co dokładnie, tego nie wiedzieli. Do współpracy i Marek Głowacki, Zbigniew Hurlak, bo to byli dwaj w zasadzie moi chłopcy z akademika. Bo mieliście z panem Markiem sąsiednie pokoje. Dosłownie przez ściany mieszkaliśmy w akademiku. On mieszkał ze Zbigniewem Hurlakiem. Do akcji byli zawsze chętni. No, ma się rozumieć, wieczorami spotykaliśmy się, rozmawialiśmy na tematy wszelakie, aktualne. I zawsze do akcji byli chętni. No natomiast grupa z Gocławia to tych chłopców trzeba było wręcz hamować, stopować, bo to byli młodszy od nas o dwa, trzy, cztery lata. Naprawdę bardzo sprytni, dzielni, odważni chłopcy. Trzeba było ich stopować, po trochu przygotowywać. Każdy taki nowy członek grupy, który miał być wprowadzony na akcję ulotkową, szedł z kimś już doświadczonym. I mi się niejednokrotnie zdarzyło iść na taką akcję ulotkową z kimś, kto pierwszy raz pokazywałem mu, jak to się robi, żeby wprowadzić go w tę atmosferę, w tę akcję. I tak jak mówię, to byli chłopcy bardzo chętni, bardzo odważni, ofiarni i bardzo dobrze wspominam pracę z nimi, bo cieszyłem się, że wśród młodych ludzi jest taka chęć po prostu.

Artur Kłus: Dla nich to właśnie Pan był naturalnym szefem tej grupy.

Wiktor Świercz: Tak, tak, no oczywiście rzadko spotykałem się z nimi wszystkimi, ponieważ takie były zasady, żeby raczej oni znali mnie tylko z pseudonimu „Waldek”. I z tymi chłopcami w Wrocławiu kontaktowałem się poprzez Ryszarda Nachiło, a później Wojtkę. I tak, no ja byłem dla nich szefem. Uważali mnie za kogoś więcej niż byłem.

Prawdę. No. Powiem tak na marginesie nigdy nie miałem ambicji przywódczych ani zdolności takich, ale no taka była potrzeba czasu tamtego, żeby ktoś to wziął w swoje ręce. Jak z biegiem lat okazało się, że mam następców, którzy lepiej ode mnie potrafili robić to, co robiliśmy. Mam tu na myśli Wojtkę Nachiło przede wszystkim, który był szefem grupy po mnie, to moja działalność praktycznie już wtedy już mogła się zakończyć, bo już było coraz więcej ludzi gotowych do działania. W jaki sposób było przekazanie tego przywództwa? W jaki sposób to się odbyło? To głównie się odbyło po moim drugim aresztowaniu, w sposób naturalny, po drugim aresztowaniu, to nie było mnie ze cztery miesiące, na Rakowieckiej siedziałem. No więc automatycznie musiał ktoś to przejąć. I wtedy już Wojtek Nachiło był na tyle wdrożony w organizację i w pracę, w tą działalność, że mógł śmiało te moje obowiązki przejąć. I jak wyszedłem po drugim aresztowaniu, to praktycznie oczywiście brałem udział w akcjach różnych, ale coraz bardziej w swoje ręce przejął to Wojtek Nachiło i cieszyłem się z tego, bo miałem wrażenie, że lepiej się do tego nadawał niż ja.

Artur Kłus: To może niech pan powie, skąd w ogóle nazwa i pseudonim Waldeczek?

Wiktor Świercz: No ja przybrałem taki pseudonim, ponieważ czasy były takie, zwłaszcza te pierwsze tygodnie stanu wojennego, gdzie były sytuacje naprawdę groźne, jak wiemy. Ludzie ginęli, więc uważałem, że taka potrzeba chwili istnieje i wszystkim, których werbowaliśmy do tej działalności, też polecałem, żeby pseudonimy swoje przyjęli. Więc ja przybrałem pseudonim Waldek i po mnie, jak gdyby żeby zachować ciągłość, można tak Nazwać, Wojtek Nachiło, ponieważ był młodszy. Mówiło się na niego „Watażka”, bo w pewnym momencie posługiwał się pseudonimem „Waldeczek”, żeby zachować ciągłość tej grupy. Tak.

Artur Kłus: To właściwie pan wspominał o tym drugim aresztowaniu i to też było powiązane z tymi akcjami, o których pan mówił. Jakby pan wspominał, jak doszło do tego aresztowania, i jak pan wspominał, w ogóle sam pobyt i areszt i później więzienie.

Wiktor Świercz: Drugie aresztowanie to było na wiosnę, na początku kwietnia 1984 roku. Było to, można tak powiedzieć lekkomyślne z mojej strony, bo około w godzinach późnych to było około północy, szedłem po mieście z torbą pełną bibuły, różnych czasopism, wydawnictw i po prostu natknąłem się na patrol policyjny w miejscu, gdzie nie było jak uciec. To było gdzieś w rejonie Zakładów Kasprzaka i po prostu można było tego uniknąć. Niepotrzebnie się na to w sumie narażałem. W każdym bądź razie zostałem wtedy złapany i po kilku dniach pobytu na różnych komendach przewieziony na Rakowiecką ponownie. Pobyt w więzieniu nie był dla mnie uciążliwy. No wiadomo, cela była mała, czteroosobowa. To był areszt śledczy, więc tam nie było kontaktu z nikim. No, kontakt organizowaliśmy metodami od pokoleń znanymi alfabetu Morse’a, wybieranie wody z toalety i rozmowa z piętrem niżej. Tam siedziałem, ale bądź to z działaczami Solidarności, bądź z jakimiś grubszyymi aferzystów, których tam trzymała władza ludowa. Szpiegami? Pamiętam... A to było za pierwszym pobyt w przeddzień Bożego Narodzenia. Przewieziono działaczy KOR-u, obok siedzieli. Tak, że pobyt w więzieniu nie wspominam jako jakoś szczególnie uciążliwy. Można powiedzieć, że traktowałem to jako swego rodzaju młodzieńczą przygodę. No, wiązało się z tym jakieś ryzyko, zagrożenie też. Mój pobyt drugi w więzieniu skończył się w lecie, bodajże pod koniec lipca 1984 roku, też na zasadzie amnestii, na zasadzie amnestii wypuszczono jakiś proces, trwał, on został umorzony i dopiero później, w latach 90-tych, umorzone zostało na zasadzie amnestii. Dopiero w latach 90-ych został on jak gdyby na nowo

wznowiony i umorzony na zasadzie braku winy. Taką dostałem sentencję, nawet bez mojej inicjatywy, ale tak to się odbyło. Wyszedłem po raz drugi. Ale jeszcze tak.

Artur Kłus: Wróćmy do tego, do tego okresu, kiedy był pan w więzieniu.

Wiktor Świercz: Bo wtedy też wydarzyło się pewne zdarzenie. Nadano do mnie audycję radiową poprzez taką gadałkę podobną jak którą ja nadawałem do Klincewicza i innych więźniów. Co ciekawe, wiedziałem, kiedy to będzie. Odwiedzała mnie w więzieniu moja śp. mama. I mimo, że rozmowa się odbywała przez szybę, przez słuchawkę, którą trzymała mama, ja i oczywiście oficer SB. Mimo wszystko poprzez pewien kod, który wcześniej był jakoś uzgodniony, mama przekazała mi informacje i wiedziałem, kiedy ta audycja będzie. I ona została nadana. Pamiętam, na wstępie była pieśń Kaczmarekowskiego „Zbroja”, którą zawsze pamiętam jakoś szczególnie. Po czym były pozdrowienia dla mnie, pod pseudonimem oczywiście. Słyszalność była kiepska, ale dało się słyszeć. Audycja trwała 20 minut co najmniej, o ile dobrze pamiętam. Oczywiście udawałem wśród współwięźniów w celi, że zdziwienie i... no bo tam byli, owszem, i działacz Solidarności, bodajże Grzegorz Palka z Solidarności Łódzkiej, ale też byli inni, których nawet jednego z nich podejrzewałem, że jest po prostu wtyczką. Więc absolutnie nie przyznałem się, że wiem cokolwiek, co to za audycja i co to za pozdrowienia. Także o tej akcji wiedziałem, została nadana. I to było w roku gdzieś w lecie, bodajże w czerwcu 1983 roku. Czwartego, tak oczywiście, czwartego. Wyszedłem po amnestii i włączyłem się w działalność grupy, ale już mniej i mniej aktywnie. Ponieważ zawałem rok na Politechnice. Poza tym grupa się rozrosła, Wojtek Nachiło, coraz więcej ludzi udało mu się zwerbować do działalności. I widziałem, że robią to bardzo dobrze. I tak już moja działalność stopniowo się kończyła. Do początków bodajże 1985 roku, wtedy postanowiłem wstąpić na Akademię Medyczną w Warszawie i praktycznie na tym się moja działalność zakończyła. Jeszcze tak dopytam w temacie tych akcji i jakichś takich działań aktywnych, a być może czasami też i ryzykownych.

Artur Kłus: Bo tutaj mówił pan właśnie Marek Głowacki, że pan był takim prawdziwym pistoletem dynamicznym, kreatywnym, że pod pana tymi aspiracjami ta grupa była taka patrząc pod względem takich szerszych struktur, Grup Oporu, była jedną z najbardziej dynamicznych, a może nawet najbardziej dynamiczną grupą. Jak pan to wspomina?

Wiktor Świercz: Z jednej strony tak. Tych akcji mieliśmy dużo i tych zleconych przez Rafała, czyli Teodora Klincewicza i tych na własną rękę. Natomiast jakoś nie nastawiałem chłopców na agresję. Owszem, mieliśmy aerozole z jakimś gazem pieprzowym czy nie wiem co to było. Też dostarczone mieliśmy przez Klincewicza w razie czego, żeby się obronić po prostu. Natomiast nie organizowaliśmy akcji typu... Bo była grupa, która organizowała akcje takie bardziej agresywne: niszczenie samochodów, oblewanie kwasem tak, zasmradzanie, tak. I z szefem takiej grupy spotykaliśmy się na spotkaniach właśnie z Klincewiczem, gdzie był on plus kilku takich jak ja 3-4 szefów grup. I była jedna z grup takich bardziej agresywnych chłopców, którzy tego typu akcje organizowali. Myśmy... Jaka to grupa była? Ja nawet nie przypominę sobie. Czy to był Andrzej Niedek. Nie, Andrzej Niedek to był jakby powyżej. On był w zarządzie całych grup, natomiast szefem tej grupy był... Nie pomnę nawet pseudonimu jego. Ale było to taka grupa bojowa, która rwała się wręcz do walki. Myśmy nie nastawiali się na walkę, na jakąś przemoc. Bo uważałem, że to raczej nie ma sensu. Owszem, byliśmy przygotowani do obrony w razie czego, czy też w razie niektórych akcji mieliśmy przy-

dzielonych wręcz ochroniarzy, którzy nas mieli chronić. Owszem, byliśmy aktywni, robiliśmy sporo tych akcji, ale no nie nastawialiśmy się na przemoc, na atak na kogokolwiek. A trzeba było po prostu różnych form próbować działalności: ulotki, flagi, kolportaż prasy. Na terenie Politechniki też tak na własną rękę czasem rozklejaliśmy przy okazji różnych rocznic typu 8 marca czy 3 maja. O, tu mogę wspomnieć jakoś szczególnie utkwiła mi pamięci demonstracja 3 maja 1982 roku. O ile w dniu 1 maja była to demonstracja bardzo taka spokojna, to znaczy bardzo dużo ludzi się zebrało i przeszliśmy przez Stare Miasto nie będąc atakowanymi. Natomiast trzeciego maja, pamiętam, zebraliśmy się na Placu Zamkowym i z Olgierdem Smoleńskim nieśliśmy transparent NZS. Policja zaatakowała. I taki pamiętam moment gdzie ten transparent przebity petardą z bliska wystrzeloną on się przerwał i zostały mi w ręce drzewce tego transparentu i cofając się do ulicy Świętojańskiej w bramie staliśmy przed katedrą, nie wiedząc co zrobić. Nastawialiśmy jak lance te drzewca złamanego transparentu, a zomowcy do kościoła nie weszli, ale lali wodą na nas. Owszem, atakowali, także była to taka akcja, wtedy dość niebezpieczna. Na mieście wychwytywali wtedy ludzi, aresztowali. Też wspominałem demonstrację 11 listopada. To był rok chyba 1982. Wieczorem szliśmy Krakowskim Przedmieściem. I to było już ciemno, wieczór. Na wysokości kościoła Świętego Krzyża obok nas przejechała nyska policyjna [milicyjna] i z tej nyski policyjnej wystrzelono petardę. To nie była jakaś ostra amunicja, ale wystrzelono petardę człowiekowi, który szedł parę metrów ode mnie prosto w twarz. Nie wiem jakie losy były dalsze tego człowieka, bo z twarzy buchnął dym, krew. Dwóch ludzi wzięło go pod ramiona. Wprowadzili do kościoła Świętego Krzyża i nie wiem, jakie dalsze były losy tego człowieka, ale pamiętam to zdarzenie. Zaraz ta nyska czym prędzej odjechała, ale takie coś miało miejsce. Więc chwilami było niebezpiecznie. Myśmy na – powtórzę, agresję i przemoc – nie nastawiali się. Przemoc i agresja była ze strony SB i ZOMO, przed którą się czasem trzeba było bronić. Chciałbym...

Artur Kłus: To może tak zapytam się o relacje pana czy grupy z tą stroną. Czy pan się spotkał z jakimś bezpośrednim kontaktem z RKW Mazowsze albo ze Zbigniewem Bujakiem czy z kimś innym z działaczy. Czy był wtedy taki bardziej kontakt, czy nie, czy to wszystko było przez Teodora Kłincewicza?

Wiktor Świercz: Kontakt ze strukturami podziemnymi Solidarności Mazowsze był pośredni. Taka była zresztą zasada, że Kłincewicz spotykał się z zarządkiem Mazowsza, natomiast nas zbierał szefów grup na spotkania raz w miesiącu czy już nie pamiętam, jakie były to odstępy. Także nigdy nie miałem kontaktu ani z Bujakiem, ani z innymi członkami RKW Mazowsze. Tu wspomnę o takim zdarzeniu. No, myśmy oczywiście wykonywali zadania RKW Mazowsze, ale ludźmi myślącymi, czasem krytycznie. I zdarzyło się kiedyś, nie pamiętam już, o co chodziło, że chłopcom, w tym też i mnie, coś nie podobało się w tych odezwach, już nie pamiętam, o co chodziło. Więc napisaliśmy list do RKW Mazowsze poprzez Kłincewicza, że nie zawsze nam się podoba to, co przekazujemy, treść ulotek, które zrzucamy. Nie chodziło może o jakieś zasadnicze sprawy, ale przekazaliśmy informację, że niektóre rzeczy widzimy inaczej. I dostaliśmy odpowiedź na piśmie podpisaną przez Konrada Bielińskiego, członka, o ile pamiętam RKW Mazowsze, który nas informował, że czasy są takie, jakie są i proszę zaufać nam, zarządowi Solidarności. Teodor Kłincewicz, cedujemy na niego wszelkie nasze prośby zarządzenia i na tym się skończyło. Oprócz tego, że wykonywaliśmy to, chłopcy myśleli i czasem mieli coś do powiedzenia w sprawie szczegółów. Natomiast to był kontakt jak najbardziej pośredni i nigdy z zarządkiem się nie widziałem.

Artur Kłus: Właściwie był pan od początku swojej działalności zaangażowany w te struktury różnych grup. Jak pan wspomina w ogóle jak te grupy się rodziły, jak ta struktura się zmieniała pod względem takiej organizacji wewnętrznej?

Wiktor Świercz: Wiele nie wiadomo mi na temat struktury innych grup, ponieważ była jakaś izolacja między nami. Myśmy się spotykali z Klincewiczem gdzie omawialiśmy, która grupa, w jakiej dzielnicy działa, jakie ma zadania. Natomiast co do struktury innych grup niewiele się orientowałem. Takie było zresztą założenie, żeby za dużo nie wiedzieć niepotrzebnie. Więc mogę powiedzieć o swojej grupie. Im bardziej ona się rozrastała, tym spotkania były nie ze wszystkimi, tylko z pewnymi Przedstawicielami. W akademiku to byliśmy na bieżąco w kontakcie, a przed jakimiś akcjami spotykałem się głównie z Wojtkiem Nachiło, z Ryśkiem Nachiło, a oni rozdzielali dalsze zadania wśród swoich znajomych z Gocławia. Czasem mieliśmy spotkania z całą grupą czy prawie całą grupą. One się odbywały na koronie Stadionu Dziesięciolecia, który już nie istnieje, teraz jest Stadion Narodowy. Na Koronie tego Stadionu Dziesięciolecia czasem parę razy spotkaliśmy się, chociażby dlatego, że ci chłopcy wszyscy chcieli, chcieli się ze mną spotkać, żeby wiedzieć, że jest ktoś, kto jakoś spina tę działalność, kto ma kontakt z wyższymi władzami struktur podziemnych. Potrzebowali tego po prostu. Wiedziałem, że chcieli się spotkać czasem, więc spotykaliśmy się kilka razy wszyscy czy prawie wszyscy.

Artur Kłus: Te spotkania, o których pan wspomina, te spotkania szefów grup raz w miesiącu. Jak pan te spotkania wspomina?

Wiktor Świercz: To były bardzo merytoryczne, czasem to były spotkania tuż przed daną akcją, a czasem po prostu w celu ustalenia jakichś perspektyw działalności. W różnych miejscach się one odbywały. W jednym z mieszkań na Ursynowie pamiętam bodajże na ulicy Pięciolinii. Nie wiem, kto tam był gospodarzem i te spotkania nie były długie, były krótkie albo bezpośrednio przed akcją, gdzie rozdzielano zadania. Dostawałem ulotki czy inne materiały do rozprowadzenia, albo jak była potrzeba omówienia jakichś innych form działalności, to były one zwoływane. Ale one były, przynajmniej tak to wspominam, to były spotkania niezbyt długie, tam nie było rozwlekłej jakiejś rozmowy, konkretne ustalenia i rozchodziliśmy się.

Artur Kłus: Czy jakieś osoby były bardziej aktywne, czy coś pan wspomina szczególnie jeżeli chodzi o tych przywódców?

Wiktor Świercz: No, parę razy na takich spotkaniach widywałem Mireckiego. I szczególnie zapamiętałem właśnie szefa grupy warszawiaków, którzy organizowali te akcje takie bardziej, bardziej agresywne. Ale oczywiście imienia, nazwiska ani nawet pseudonimu też już nie pamiętam. Mogę przeczytać jakieś potencjalne nazwiska od których przypomni się. No nazwisk, to na pewno... Mireckiego nazwisko poznałem w latach już dużo późniejszych. Natomiast nazwisk to na pewno żadnych nie kojarzę, chyba że już z wydawnictw z wolnej Polski, które wpadły w moje ręce, które czytałem chociażby z tego opracowania „Sto razy głową w mur”, gdzie rozszyfrowałem kilka osób.